

ZAUROCZYĆ SIĘ ŁATWO.
ZAKOCHAĆ... TROCHĘ TRUDNIEJ.

GDY
TYLKO
CIĘ
UJRZAŁAM

PAIGE TOON

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE MINUTE I SAW YOU

Copyright © Paige Toon 2020
Published by arrangement with Simon & Schuster UK Ltd.
1st Floor, 222 Gray's Inn Road, London, WC1X 8HB
A Paramount Company
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2025

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. (z wykorzystaniem AI)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



ROZDZIAŁ PIERWSZY

No, no...

Na chodniku za oknem stoi przystojny mężczyzna. Rozmawia przez telefon komórkowy i wprawdzie oczy ma ukryte za okularami przeciwsłonecznymi, ale widać małą zmarszczkę między brwiami.

Kiedy odwraca się do okna, zauważam, że jego ciemne krótkie włosy są dłuższe na czubku głowy i rozjaśnione przez słońce do karmelowego odcienia. Nosi je zaczesane do tyłu niemal w stylu lat pięćdziesiątych.

Kończy rozmowę, chowa telefon do kieszeni i znika z pola widzenia, żeby pojawić się sekundę później w drzwiach.

– Dzień dobry! – szczebiocze Abbey i obie prostujemy się na krzesłach, gdy tymczasem on zdejmuje okulary. – Czym możemy służyć?

– Jestem umówiony na wizytę o jedenastej czterdzieści pięć.

Abbey spogląda na ekran stojącego na biurku komputera, a mężczyzna z uprzejmym uśmiechem, który nie schodzi mu z twarzy, kieruje wzrok na mnie.

– Dzień dobry – rzucam, odgarniając pasmo włosów za ucho.

– Cześć – odpowiada.

Złożone okulary, które trzyma dwoma palcami, wskazującym i kciukiem, dyndają swobodnie.

Te niebieskie oczy...

– Sonny Denton? – pyta Abbey, ponownie zwracając jego uwagę na siebie.

– Tak – potwierdza mężczyzna.

Sonny? Imię też ma niedzisiejsze.

– Ostatnie badanie wzroku przeszedł pan dwa lata temu?

– Chyba tak.

– Czy mogę prosić, żeby wypełnił pan ten formularz i sprawdził swoje dane? – Podaje mu podkładkę z przypiętą kartką, po czym kiwa głową w moją stronę i dodaje: – Za chwilę zajmie się panem nasza optyczka, Hannah.

Wskazuję mu czarny skórzany fotel we wnęce okiennej naprzeciwko mojego biurka. W czasie, gdy on pokonuje te parę metrów, przecinając pomieszczenie, a potem siada, ukradkiem wymieniamy z Abbey zawadiackie uśmiechy.

Później przez jakiś czas wolę na nią nie patrzeć. W tym tygodniu zjawił się równie atrakcyjny klient i kiedy nie patrzył, łakomie oblizywała usta. Niestety, facet się odwrócił, żeby zadać jej jakieś pytanie, i przyłapał ją na tym. Prawie zakrztusiłam się herbatą.

Na szczęście szefowa o niczym się nie dowiedziała. Właścicielką poradni jest Umeko, okulistka. Miła i inteligentna, ma wysokie standardy i oczekuje, co zrozumiałe, że będziemy je spełniać. Pracuję tu dopiero od kilku tygodni, więc wołałabym stąd nie wylecieć, jeśli łaska.

Nic dziwnego, że przychodzą do nas całkiem młodzi ludzie – to mała niezależna poradnia z dużym wyborem stylowych (choć nikt nie tanich) oprawek, które przemawiają do bardziej wymagających, obeznanych z modą klientów. Mieścimy się w Newnham, na przedmieściach Cambridge, krótki odcinek drogi na południowy zachód od centrum miasta. Wzdłuż tej

ulicy, tak jak wzdłuż sąsiednich, stoją ładne wiktoriańskie domy szeregowe, ale nasz budynek to narożny bliźniak z czerwonej cegły, który dzielimy z apteką. Naprzeciwko znajdują się urocze małe delikatesy, a kilka numerów dalej salon fryzjerski. To przyjemna część miasta i od wsi Grantchester, w której aktualnie mieszkam, idzie się dwadzieścia pięć minut.

Większość dnia pracy spędzamy z Abbey w tym jasnym, przestronnym pomieszczeniu od frontu. Jej biurko stoi pod tylną ścianą, a moje po prawej stronie, oddzielone biegnącym przez środek korytarzem, naprzeciwko okna wykuszowego. Pozostałą przestrzeń zajmują gablotki.

Z korytarza wchodzi się do dwóch gabinetów, z których jeden zajmuje Umeko. Do mnie należy przeprowadzenie wstępnego badania w drugim z nich, zanim pacjent uda się do niej na konsultację. Gdy tylko Sonny skończy wypełniać formularz, tam właśnie pójdziemy.

– Już? – pytam, kiedy wstaje.

– Uhm.

Biorę od niego podkładkę z kartką i zerkam na nią szybko, a później spoglądam na niego.

– Jest pan fotografem?

– Tak.

Jest wysoki, ale nie jest wielkoludem – może mieć z metr osiemdziesiąt wzrostu i przewyższa mnie o głowę. Ma na sobie biały T-shirt, dżinsową koszulę i wąskie grafitowe chinosy.

– Fajnie – rzucam, odnotowując dwie inne ważne informacje: po pierwsze, że mieszka w Barton, czyli piętnaście minut jazdy stąd, i po drugie, że jak szybko obliczam, ma trzydzieści dwa lata. – Zrobimy parę badań, zanim pójdzie pan do Umeko. Pewnie pamięta pan z poprzedniej wizyty, jak to wygląda.

Unikając – na wszelki wypadek – wzroku Abbey, prowadzę go korytarzem do pierwszego gabinetu po prawej stronie i gdy

mnie mija, wdycham zapach jego wody po goleniu.

- Ma pan dzisiaj szkła kontaktowe?
- Tak, miesięczne. Wziąłem ze sobą płyn do soczewek.
- Świetnie. Może pan je wyjąć?

Ma takie niebieskie oczy. Błękitne, wręcz lazurkowe, powiedziałabym. Wyglądają niesamowicie pod tymi długimi rzęsami.

– Proszę usiąść i oprzeć brodę tutaj – mówię, kiedy już jest gotowy.

Po zrobieniu zdjęć dna obu oczu przenosimy się do drugiego wielofunkcyjnego urządzenia, żebym mogła szybko sprawdzić, jaką ma wadę wzroku.

- Od dawna pani tu pracuje? – pyta.
- Dopiero od kilku tygodni.
- A co się stało z panem Zręda? – Odchyła się na oparcie krzesła i obraca z lewej strony na prawą.
- Jeśli ma pan na myśli Bernarda... bo tak przypuszczam... przeprowadził się do Szkocji, żeby być bliżej schorowanych rodziców.

Uśmiecha się szeroko.

– Nie mogę powiedzieć, żebym tęsknił za jego nieświeżym oddechem.

– Jeszcze tak dobrze mnie pan nie poznał.

O nie, nie.

Nie, nie, nie, nie, nie.

Chyba tego nie powiedziałam!

Jednak sądząc z wyrazu jego twarzy, najwyraźniej tak się stało. Oczy mu się rozszerzają, nie mówiąc już o uśmiechu.

– Nie to miałam na myśli.

Mimo mojego zakłopotania śmieje się wesoło i ten dźwięk wytrąca mnie z równowagi.

– I jeszcze ostatnie badanie – mówię przez zaciśnięte zęby.

– Czy to będzie gra wideo? – pyta z nadzieją, prostując się na krześle.

– Chodzi panu o badanie pola widzenia?

– Uhm, za każdym razem, kiedy na obrzeżach zobaczy się świetlisty punkcik, trzeba nacisnąć guzik.

– Wszyscy chłopcy to lubią – odpowiadam z uśmiechem. – Ale nie, to będzie badanie ciśnienia wewnątrzgałkowego. – Oceniam ryzyko jaskry. Obniżam urządzenie, żeby wykonać tonometrię. – Zaczniemy od prawego oka. Proszę patrzeć prosto przed siebie szeroko otwartymi oczami.

Wzdryga się za każdym razem, gdy w jego oko uderza podmuch powietrza. To nie boli, ale nie jest zbyt przyjemne.

– Jeśli chodzi o mnie, to wszystko. – Zbieram wydruki z obrazem siatkówki i wyniki badań. – Pójdę zobaczyć, czy Umeko od razu pana przyjmie. Może pan zostać tu jeszcze chwilę?

– Jasne.

Umeko siedzi przy biurku i przebiera palcami po klawiaturze komputera.

– Sonny Denton do ciebie – oznajmiam.

– A, Sonny. – Bierze ode mnie dokumentację.

– Od dawna jest naszym klientem? – Staram się, żeby zabrzmiało to jak pytanie od niechcenia.

– Przychodził już jako nastolatek – odpowiada i spogląda na informacje, które ma przed sobą. – Jego ojciec prowadzi nam księgowość.

Umeko mieszka w Anglii już przeszło czterdzieści lat, ale wciąż mówi z japońskim akcentem. Chociaż jest po sześćdziesiątce, wygląda co najmniej dziesięć lat młodziej ze swoją gładką skórą, bez zmarszczek, i z nieznacznie tylko siwizną w kruczoczarnych włosach. Zwykle nosi je spięte w gładki kok, ale kiedy ma je rozpuszczone, jak widywałam wielokrotnie na spotkaniach towarzyskich, sięgają jej do połowy pleców.

To tak jak moje, tyle że jej włosy są proste, a moje kręcone, jasnobrązowe z naturalnie jaśniejszymi pasmami. Ja też upinam je do pracy, ale przeważnie wychodzi z tego rozwichrzone gniazdo. Nie to co gładki koczek.

Sonny i Umeko witają się jak starzy znajomi, a ja wracam do swojego biurka i posyłam Abbey szeroki uśmiech. Ona bierze czasopismo i wachluje się nim, tak że powiew unosi z jej twarzy cherubina cienkie pasma włosów w kolorze truskawkowego blondu, które wysunęły się z wysokiego końskiego ogona.

– Jak tam ciacho?

– Ciii – uciszam ją, ale nie przestaję się uśmiechać. – Najwyraźniej przychodzi tu od lat. Nigdy wcześniej go nie widziałas?

– Nie.

Abbey pracuje tu od roku, więc to całkiem możliwe.

Poprzednią kierowniczką poradni była apodyktyczna kobieta w typie matrony, która w wieku pięćdziesięciu trzech lat przeszła na emeryturę. Przed odejściem przeszkoliła Abbey. Abbey pracowała z Bernardem i nie było jej szczególnie żal pożegnać się z nim. Jej zdaniem to nie przypadek, że Umeko zatrudniła właśnie mnie, drugą młodszą, bardziej energiczną pracownicę; Abbey ma dwadzieścia sześć lat, a ja dwadzieścia siedem.

Kontynuuję wypełnianie formularzy National Health Service, ale ponieważ wiem, że Sonny nie będzie u Umeko zbyt długo, nie mogę się skupić.

I rzeczywiście, wychodzi po piętnastu minutach.

Umeko prowadzi go do nas.

– Przejdź się i zobacz, które ci się podobają – mówi do niego.

– Może napije się pan herbaty albo kawy? – pytam. – Latte? Cappuccino?

Mamy w kuchni supernowoczesny ekspres.

– O, latte bardzo chętnie – odpowiada Sonny.

Kiedy robię dla niego kawę, Umeko przekazuje mi informacje. Sprawa jest prosta – Sonny przeważnie nosi soczewki kontaktowe, ale gdy edytuje zdjęcia na komputerze, czasami do późna w nocy, woli to robić w okularach.

Po powrocie zastaję go przed lustrem, przymierzającego metalowe oprawki.

– Te mi się podobają – mówi Abbey, kiedy stawiam kawę dla niego na swoim biurku.

– Trochę jaskrawe – odpowiada on. – Za bardzo zwracają uwagę.

– Zależy panu na metalowych? – pytam.

– Uhm, ale wolałbym w bardziej neutralnym kolorze.

– Proszę obejrzeć kilsgaardy. – Kieruję go do gabloty z kilkoma parami oprawek tej duńskiej marki.

– Właśnie o takim odcieniu myślałem. – Bierze jedne i przymierza je, patrząc na siebie w lustrze.

– Wyglądają świetnie – zauważa z uznaniem Abbey.

– Tak, rzeczywiście – potwierdzam. – Niech pan przymierzy jeszcze te. – Podaję mu inne oprawki, by nie czuł się pod presją, że musi szybko się zdecydować.

Zachęcamy go, żeby obejrzał jeszcze inne gabloty, ale on wraca do kilsgaardów i decyduje się na pierwszą przymierzoną parę.

– Muszę skoczyć do siostry – przypomina mi Abbey.

W domu jej siostry, niedaleko stąd, trwa remont i Abbey umówiła się z nią, że wpuści do środka jednego z fachowców.

– Może zrobię panu świeżą kawę, zanim wyjdę? – proponuje Sonny’emu, który podchodzi razem ze mną do mojego biurka.

– Nie, dziękuję, ta jest wciąż ciepła – odpowiada Sonny i wypija łyk.

– Chce pan je założyć jeszcze raz? – pytam go po wyjściu

Abbey i zwracam w jego stronę małe lustro. – Naprawdę dobrze w nich panu – zapewniam. Prawdę mówiąc, dobrze mu było w większości okularów, które przymierzał. – Mogę sprawdzić, czy dobrze leżą?

– Jasne.

Pochyliła się ku mnie nad wąskim biurkiem. Pachnie wspólnie.

Kiedy opierając kciuki na jego policzkach, poruszam oprawkami, wyczuwam tylko nieznaczne tarcie.

On unosi kącik ust, ale szybko zaciska usta, usiłując powściągnąć uśmiech.

Przygryzam wargę, starając się zachować powagę. Jego wesołość jest zaraźliwa.

– Przepraszam – mówi.

– W porządku – bąkam.

Przesuwam palcami wzdłuż zauszników, by się upewnić, że mają odpowiednią długość i właściwie spoczywają na uszach.

Kącik jego ust znowu drga.

– Bardzo przepraszam – szepcze uroczo.

– Większość ludzi dostaje łaskotek – zauważam, kończąc sprawdzanie.

– Przy Bernardzie ich nie miałem – komentuje sucho, a mnie przebiega dreszcz.

– Teraz muszę wykonać kilka pomiarów. – Biorę do ręki marker. – Proszę na mnie spojrzeć.

Patrzy mi prosto w oczy, kiedy zaznaczam na plastikowych soczewkach miejsce, w którym wypada środek jego źrenicy. Jestem bardziej świadoma jego bliskości niż innych klientów, ale skupiam się na swoim zadaniu – to ważne, żeby linia jego wzroku przechodziła przez centralny punkt szkielec.

– Ma pani niezwykle oczy – rzuca cicho, gdy kończę pomiary przy jego drugim oku.

– Tak? – Mówiąc to, lekko odchyłam się do tyłu, ale jeśli

mam być szczerą, wiem o tym: są dziwne, niemal złotej barwy, z plamkami i zieloną obwódką.

– Mhm. – Patrzy mi w twarz, nie mrugając.

Unoszę brew.

– Już może pan zdjąć oprawki.

Pod wpływem jego spojrzenia serce bije mi szybciej; Sonny nie spuszcza ze mnie wzroku, gdy linijką mierzę oprawki i wpisuję dane do komputera. Kiedy mamy przejść do wyboru szkła, mój puls na szczęście wraca do normy.

– Jakiej firmy będą soczewki? – pyta.

– Zeissa. – Całkiem uzasadnione pytanie ze strony fotografa. – To także producent obiektywów aparatów fotograficznych, prawda?

Kiwa głową.

– Tak, mam kilka takich.

– Co pan fotografuje? – pytam, żeby podtrzymać rozmowę.

– Głównie modę.

– Gdzie? Tutaj?

– Nie, wszędzie. W Amsterdamie, Londynie, Nowym Jorku. Mieszkam w Amsterdamie – wyjaśnia, a potem, widząc moje zdziwienie, dodaje: – W formularzu podałem adres rodziców.

– A, rozumiem. – Czyli nie jest stąd. Ciekawe. – Jedna z koleżanek kilka miesięcy temu przeprowadziła się do Amsterdamu. Muszę odwiedzić ją tego lata.

– Powinna pani. To dobre miejsce na weekendowy wypad.

– Kiedy pan wraca?

– Za dwa tygodnie. Mam nadzieję, że do tego czasu okulary będą gotowe.

– Wyjeżdża pan dwudziestego piątego, w sobotę? – Zaglądam do kalendarza w komputerze.

– Tak.

– Powinny być. Umówić pana na wizytę dzień przed tym terminem?

Będę musiała dopasować nowe okulary, dokonać poprawek, więc nie wystarczy tylko po nie wpaść.

– Poproszę.

– O tej samej porze?

– Byłoby świetnie.

– Nie sugeruję, że powinien pan pójść gdzieś indziej zamiast do nas, bo to renomowana placówka, ale dlaczego nie zamawia pan okularów w Amsterdamie?

– Lubię Umeko. Przychodzę tu od lat. Nawet Bernie Cuchnący Oddech nie mógł mnie zniechęcić – dodaje z uśmiechem.

Rozbawiona, zwracam ku niemu ekran komputera.

– Dobrze, więc razem to będzie...

Cena nie wywiera na nim wrażenia.

– A co robi pan tutaj? – pytam niedbale, kiedy wyjmuję kartę kredytową. – Przyjechał pan na urlop czy do pracy?

– Spędzam z rodziną Wielkanoc, a potem wracam do roboty.

– Często przyjeżdża pan do domu? – Wystukuję kwotę.

– Nie tak często, jak powinienem.

Zastanawiam się, czy ma tam, w Amsterdamie, dziewczynę. Nie nosi obrączki.

– To już wszystko. – Z uśmiechem podaję mu potwierdzenie zapłaty.

Kiedy bierze je ode mnie, nasze palce się stykają i czuję, jak dziwna fala gorąca pnie się po moim ramieniu.

– Dzięki. Czyli zobaczymy się za dwa tygodnie?

– Na to wygląda.

Oboje wciąż się uśmiechamy, gdy Sonny rusza do wyjścia. W drzwiach rzuca mi jeszcze jedno, ostatnie spojrzenie, po czym znika z widoku.

Podnoszę dłonie do twarzy i czuję zapach jego wody po goleniu, który został na nich po badaniu. Jakoś nie mam ochoty ich umyć, ale lada chwila przyjdzie następny klient i będę musiała powtórzyć wszystkie czynności od nowa.

Mam przeczucie, że nie będzie to równie zapadająca w pamięć wizyta.

ROZDZIAŁ DRUGI

– To dziś – oznajmiam radośnie swoim odbiciom w lustrzanych szafkach na ścianie.

Podnoszę szczoteczkę, żeby przystąpić do mycia zębów, ale uśmiech nie schodzi mi z twarzy.

Jest piątek, dwudziesty czwarty kwietnia. Dziś o dwunastej Sonny ma przyjść po okulary.

– Szkoda, że nie umówiłam go na wcześniejszą godzinę.

Zbieram włosy i wsuwkami upinam je w kok, potem biorę z brzegu umywalki srebrną bransoletkę i zapinam ją na nadgarstku.

Mój uśmiech blednie, kiedy po wejściu do sypialni widzę rozciągniętą na łóżku Bertie.

– Och! Niedobry pies!

Czarna labradorka wuja patrzy na mnie smętnymi brązowymi oczami, gdy macham ręką, by zeszła.

– No już, złaź!

Bertie niechętnie podnosi swoje stare kości do pozycji siedzącej, a następnie zeskakuje na dywanik. Drapię ją za uszami, a ona z zadowoleniem macha ogonem. Wie, że teraz pójdziemy do kuchni na śniadanie, więc już się nie kładzie.

Mój wuj, Charles, wypłynął w rejs dookoła świata i wraca dopiero pod koniec września. Opiekuję się jego domkiem i przy okazji też jego ukochaną Bertie. W wieku dwunastu lat

jest staruszką; sam Charles ma osiemdziesiątkę na karku i też nie młódniej. Zawsze chciał podróżować, ale jego żona uważała, że najgorsze, co może być, to utknąć na statku z setką obcych ludzi. June cierpiała na chorobę morską i ogólną nietowarzyskość, a także, niestety, jak się okazało, miała słabe serce. Umarła kilka lat temu, Charles jednak dopiero niedawno zdecydował się spełnić życiowe marzenie, pod warunkiem że wróć do Anglii i zajmę się jego domkiem. Zgodziłam się chętnie – kiedy zadzwonił, byłam w Indiach, ale objałam się po świecie już od jakiegoś czasu. Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem gotowa wrócić do domu, dopóki Charles mnie o to nie poprosił.

Pazury Bertie skrobią po czerwonych płytkach podłogowych, kiedy idzie za mną do przytulnej kuchni i sadowi zadek przed wiecznie ciepłą kuchenką Aga.

Jedyne małe okno wychodzi na pobliską ulicę; rozciąga się z niego widok na hodowane przez June róże pod białym płótem i dalej. Zielone krzewy już są usiane plamami koloru, od pastelowych różów i żółci po świetliste pomarańcze i wiśniowe czerwienie. Kiedy w czerwcu przychodziła ich pora kwitnienia, nasza June stawiała je w wazonach po całym domu.

Nasypuję Bertie suchej karmy do miski i włączam czajnik elektryczny, po czym parzę sobie herbatę i robię grzanekę. Wreszcie siadam przy stole. Na zewnątrz świeci słońce i po jasnoniebieskim niebie sunie tylko kilka chmur.

– Doskonała pogoda, żeby pójść do pracy na piechotę – mówię na głos i Bertie w odpowiedzi macha ogonem.

Wie, że zabiorę ją ze sobą. W ciągu dnia będzie pod opieką Roberta, męża Umeko, który jest już na emeryturze. On i Charles są dobrymi przyjaciółmi; wiele, wiele lat temu poznali się na uniwersytecie. Robert lubi towarzystwo Bertie, a ona jego, i Charles może być spokojny, że jego stara suczka nie czuje się samotna. Wszyscy są zadowoleni.

Kiedy na służbowy granatowy uniform narzucam starą wystrzępioną kurtkę dżinsową, Bertie tańczy wokół moich nóg i z radości, że wychodzimy z domu, o mało mnie nie przewraca. Przypomina mi wariującego, sapiącego szczeniaka, jakim kiedyś była. Zdejmuję z wieszaka czerwoną smycz i przypinam ją do czerwonej obroży, po czym otwieram drzwi i z zadaszonego ganku wychodzimy na chłodne wiosenne powietrze. Trawnik leży w cieniu i jest mokry od rosy, więc trzymam się ścieżki ogrodowej, kiedy Bertie ciągnie mnie do furtki.

Na podjeździe pojawia się samochód. To Evelyn przyjeżdża do pracy. Jest psychoterapeutką i wynajmuje pokój przylegający do domku Charlesa. Mówię „przylegający”, ale tak naprawdę należy do budynku – kiedyś był częścią podzielonego teraz salonu. Ma oddzielne wejście z boku; władze wyraziły na to zgodę, zanim domek umieszczono na liście zabytków.

Macham do niej, a ona do mnie, życzliwa i bezpośrednia jak zawsze. Jest już po pięćdziesiątce i na jej głowie widać siwe pasma, ale kiedy ją poznałam, miała włosy w kolorze platynowego blondu.

Znika za rogiem budynku, gdzie codziennie parkuje samochód.

W drodze do wiejskiej ścieżki, prowadzącej do miasteczka, Bertie i ja mijamy dwa puby – w Grantchester są cztery, rzut beretem od siebie. O tej porze za oknami widać puste, ciemne sale, a stojące na zewnątrz stoły są wilgotne i nie wyglądają zachęcająco, ale jeśli pogoda się utrzyma, jak głoszą prognozy, i w weekend będzie tak ładnie, wszystko się zmieni.

Trawa jest zbyt wysoka i mokra, żeby iść nad samą rzeką, jednak od czasu do czasu widzę wodę, lśniąca w porannym słońcu.

W końcu opuszczamy zielone pola i wchodzimy na asfalt. Patrzę w lewo i oczywiście znowu ją widzę: dziewczynę z apteki po sąsiedzku.

Zatrzymuję się ze śmiechem i czekam, aż się do mnie zbliży.

– Hej! – woła, podchodząc. – Jeśli mamy dalej się tak spotykać, musimy się sobie przedstawić.

Ten tydzień jest taki dziwny. Nie tylko wpadamy na siebie, gdy obie idziemy do pracy, ale także, jak się okazało, wychodzimy z niej o tej samej porze. Nieważne, czy robię to pięć minut wcześniej, czy pięć minut później – mamy dokładnie taki sam rozkład dnia. Stawało się to już naprawdę śmieszne, więc wczoraj odczekałam chwilę za drzwiami poradni, żeby potem szybko wyskoczyć na chodnik. I zdębiałam, kiedy zobaczyłam, że ona robi tak samo. Stanełyśmy naprzeciwko siebie z osłupiałymi minami, a potem obie wybuchnęłyśmy śmiechem jak para wariatek.

– Idę do supermarketu – odezwała się wreszcie, z zielonymi oczami błyszczącymi od łez ze śmiechu, wskazując w przeciwnym kierunku.

– Dobra, do zobaczenia jutro rano! – zawołałam, kiedy rozchodziłyśmy się, każda w swoją stronę.

Teraz przedstawiam się jej:

– Mam na imię Hannah. A to jest Bertie.

– Cześć, Bertie! – odpowiada ciepło i pochyla się, żeby pogłaskać psa. – Witaj, Hannah – dodaje, uśmiechając się do mnie. – Ja jestem Matilda.

– Miło mi wreszcie cię poznać.

Jest chyba po trzydziestce, ma ciemne włosy sięgające do ramion. Z rysów twarzy to typ chłopczycy, do tego wysokie kości policzkowe i piegi na małym zadartym nosie. Ładna.

– Gdzie mieszkasz? – pytam.

– Przy Selwyn Avenue. – Prostuje się i wskazuje palcem za siebie. – A ty?

– W Grantchester.

– Fajnie. Od dawna tu jesteś?

Razem ruszamy dalej.

– Z półtora miesiąca. Opiekuję się tą łobuziarą pod nieobecność mojego wuja.

– Jest wspaniała – zauważa z czułością, znowu głaszcząc Bertie po głowie. – Zawsze chciałam mieć czarnego labradora.

– A nie możesz?

– Ja i mój chłopak pracujemy poza domem, więc to nie byłoby w porządku. A co ty robisz z Bertie, kiedy idziesz do pracy?

Gawędzimy dalej, aż dochodzimy do budynku. Dowiaduję się, że w święta wielkanocne Matilda była z chłopakiem na Sri Lance, co tłumaczy, dlaczego wcześniej nie natykałyśmy się na siebie.

– Do zobaczenia o piątej – żartuję, zatrzymując się przed domem Roberta i Umeko.

Mieszkają nad poradnią, a wejście na piętro znajduje się po prawej stronie budynku.

– A może nawet w porze lunchu! – odpowiada Matilda i puszcza do mnie oko.

Śmiejąc się, pukam do drzwi. Zanim Robert zejdzie, żeby je otworzyć, znowu myślę o tym, co jeszcze wydarzy się w porze lunchu...

*

Abbey wychodzi na przerwę i zostawia mnie samą w poradni. Czekam na Sonny'ego, który ma przyjść za kilka minut, i czuję motyle w brzuchu, jak idiotka.

To przez tę jego uwagę o moich oczach i ostatnie spojrzenie, które rzucił mi przez ramię. Nie ponosi mnie wyobraźnia; ja też mu się spodobałam.

Tak, wiem, że jutro wylatuje do Amsterdamu.

Ale jest jeszcze dzisiaj wieczór.

Uśmiecham się do siebie, po czym szybko przybieram

poważną minę, świadoma, że choroba psychiczna nie jest zbyt atrakcyjną cechą.

Od tak dawna nie czułam chemii między sobą a mężczyzną, że łatwo ulegam temu małemu szaleństwu. Jutro wrócę do rzeczywistości i nie będę miała o czym marzyć.

Wzdycham, przebijając palcami po biurku. Założę się, że on ma w Holandii dziewczynę. Pewnie olśniewającą wysoką modelkę, którą poznał podczas sesji zdjęciowej.

Dobra, jest już spóźniony. Ale przyjdzie. Abbey zadzwoniła do niego wczoraj, żeby potwierdzić wizytę.

Drzwi się otwierają i przebiega mnie dreszcz.

To on. Jest w czarnych dżinsach i zielonym wojskowym T-shircie.

Następne, co zauważam, to że ma pochyloną głowę.

– Dzień dobry! – witam go wesoło.

– Dzień dobry – mamrocze w odpowiedzi.

Nadal nie podnosi wzroku, ale widzę, że jest w okularach.

– Proszę usiąść. Mam pana nowe okulary – ciągnę pogodnie.

On podchodzi i przysuwa sobie krzesło, ale nadal unika mojego spojrzenia. Dziś zachowuje się zupełnie inaczej. Ten mężczyzna w ogóle nie jest mną zainteresowany, uświadamiam sobie z bolesnym rozczarowaniem. Całkowicie pomyliłam się w ocenie sytuacji.

Podaję mu nowe stylowe etui z okularami, licząc na jakikolwiek przejaw zadowolenia, ale jego twarz pozostaje bez wyrazu.

Może jest zakłopotany. Jego wcześniejsze zachowanie – to, jak się do mnie uśmiechał, patrzył mi w oczy – było trochę natarczywe. Niewykluczone, że poczuł się niełojalny wobec swojej dziewczyny i chce to naprawić.

Pewnie tak, dochodzę do wniosku, podczas gdy on zdejmuję stare okulary. Teraz i ja czuję się głupio.

Zamierzałam wdać się z nim w niezobowiązującą rozmowę, zapytać, jak minęła mu Wielkanoc i co jeszcze zamierza robić w Cambridge, ale w tych okolicznościach głos więźnie mi w gardle.

On tymczasem otwiera etui i wyjmuje kilsgaardy.

Zaraz, zaraz. Czy to możliwe, że drżą mu ręce?

– Może je pan założyć?

Zdezorientowana podsuwam mu lusterko.

Zdecydowanie coś jest nie tak. Naprawdę trzęsą mu się ręce. Wygląda na to, że cały się trzęsie. Może coś mu dolega?

Nie patrząc w lusterko, zwraca twarz ku mnie. Wzrok wciąż ma opuszczony. To jasne, że dziś nie będzie żadnych uśmiechów.

– Muszę sprawdzić, czy dobrze leżą – wyjaśniam, a on posłusznie pochyla się nad biurkiem w moją stronę.

Zrobiło się dziwnie. Jestem wytrącona z równowagi, gdy sięgam rękami do jego okularów.

Nie goił się od kilku dni, jeśli sądzić po zaroście. Muskając kciukami jego kości policzkowe, upewniam się, że zauszniaki nie uciskają mu uszu. Poruszam okularami, żeby sprawdzić, czy nie zsuwają się z nosa.

– Chciałabym skorygować ustawienie jednego noska – mówię, a wtedy on zdejmuje okulary i mi podaje.

Tym razem nie przygląda mi się, gdy pracuję.

– Nie uciskają nosa? – pytam, kiedy wkłada je ponownie.

– Nie.

– Dobrze pan widzi?

– Tak.

– Proszę rozejrzeć się wokół – nalegam. – Czy wszystko jest wyraźne? Może pan przeczytać, co jest napisane na plakacie?

Przełyka ślinę i potwierdza skinieniem głowy.

– Nie chce się pan obejrzyć w lustro?

Kręci głową i zdejmuje okulary. Patrzę na niego, a on, znowu przełykając ślinę, wkłada je z powrotem do etui.

– Sonny? – pytam z niepokojem. – Dobrze się pan czuje?

Nagle spogląda mi prosto w oczy i to, co widzę, mrozi mi krew w żyłach. Gwałtownie odsuwa do tyłu krzesło i wstaje.

Pojawiam się przed nim w jednej chwili.

– Sonny?

– Są w porządku – mamrocze, znowu odwracając wzrok.

– Co się dzieje?

Ponownie kręci głową. Bierze swoje stare okulary i je zakłada.

– Nic. Czy to już wszystko?

Patrzy wprost na mnie i znowu jakby przebiega mnie prąd. Sonny ma łzy w oczach.

Jestem poruszona, ale przede wszystkim czuję niepokój. Zanim jednak zdążę cokolwiek powiedzieć, on mnie omija i wychodzi.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).